

Medytacje i modlitwy na **Wielki Tydzień**

(Gość Niedzielny)

Niedziela Palmowa

Iz 50,4-7: Pan Bóg Mnie obdarzył językiem wymownym, bym umiał przyjść z pomocą strudzonemu, przez słowo krzepiące. Każdego rana pobudza me ucho, bym słuchał jak uczniowie. Pan Bóg otworzył Mi ucho, a Ja się nie oparłem ani się cofnąłem. Podałem grzbiet mój bijącym i policzki moje rwącym Mi brodę. Nie zasłoniłem mojej twarzy przed zniewagami i opluciem. Pan Bóg Mnie wspomaga, dlatego jestem nieczuły na obelgi, dlatego uczyniłem twarz moją jak gład i wiem, że wstydu nie doznam.

W świecie ludzi przemęczonych krzepiące słowo może działać cuda. I z całą pewnością codziennie nie tylko doświadczamy pokrzepienia ze strony innych, ale i sami możemy im w ten sposób pomóc. A jednak wystawienie siebie na pośmiewisko i zniewagi w zamian za bliźniego zdarza się nielicznym. Zniewaga i oplucie oznaczają pozbawienie człowieka czci, przed czym odruchowo każdy z nas się cofa.

To wstrząsające, jak silny okazał się Jezus, który – ubrany w szkarłat na pośmiewisko i ukoronowany cierniem – wybaczał swoim oprawcom, uznając, iż „nie wiedzą, co czynią”. Nie wiedzieli, to prawda.

Ale ja wiem, że sednem tej historii było zło, którego się dopuściłem, mój grzech. On robił to dla mnie i właśnie te dwa słowa: „On” oraz „ja” powinny w tych dniach znaleźć się w centrum mojej uwagi.

- Kim Jezus jest dla mnie, skoro ja przedstawiam dla Niego tak wielką wartość?

Panie Jezu Chryste, który przyjąłeś ludzkie oblicze, a potem nie zasłoniłeś go przed zniewagami i opluciem, usuń z mojego serca obawy przed obelgami innych.

Wielki Poniedziałek

Iz 42,1-7: Oto mój Sługa, którego podtrzymuję. Wybrany mój, w którym mam upodobanie. Sprawilem, że Duch mój na Nim spoczął; On przyniesie narodom Prawo. Nie będzie wołał ni podnosił głosu, nie da słyszeć krzyku swego na dworze. Nie złamie trzciny nadłamanej, nie zagasi knotka o nikłym płomyku. On niezachwianie przyniesie Prawo. Nie zniechęci się ani nie załamie, aż utrwali Prawo na ziemi, a Jego pouczenia wyczekują wyspy. Tak mówi Pan Bóg, który stworzył i rozpiął niebo, rozpostarł ziemię wraz z jej płonami, dał ludziom na niej dech ożywczy i tchnienie tym, co po niej chodzą. Ja, Pan, powołałem Cię słusznie, ująłem Cię za rękę i ukształtowałem, ustanowiłem Cię przymierzem dla ludzi, światłością dla narodów, abyś otworzył oczy niewidomym, ażebyś z zamknięcia wypuścił jeńców, z więzienia tych, co mieszkają w ciemności.

Któż kocha ciemność, jeśli nie ten, kto ma coś do ukrycia?

Któż zamyka oczy, jeśli nie ten, kogo światło razi?

I komu nie jest potrzebny Pasterz, który stanie obok, kiedy będziesz „**przechodził przez ciemną dolinę**”?

Wystarczyłoby, żeby Jezus przyszedł na ziemię i zmarł na krzyżu. Dzieło zbawienia zostałyby dokonane.

A przecież „**wykonało się**” o wiele więcej: stał się światłością dla narodów, otwierał oczy niewidomym, a zniewolonym przywracał wolność. Nadłamane trzciny uzdrawiał, nikłe płomienie podsycał.

Za tydzień będzie „po wszystkim”.

Kamień odwalony od grobu zdąży wyłobić wgłębienie w trawie, trzem Mariom może w końcu uda się zasnąć po traumie, jakiej doświadczyły, Piotrowi ustanie zadyszka od biegu.

Ale w rzeczywistości nigdy nie jest „po wszystkim”.

Całe twoje życie masz na to, aby nie było „po wszystkim”. Pora uznać: w ciemnych dolinach nie zawsze szukałeś Pasterza, czasem potrzebowałeś coś ukryć przed innymi. Oczy miewasz jakby na uwięzi, a ze swoich zniewoleń nie zawsze jak najszybciej chcesz się wyzwolić. My, ludzie, tak mamy.

Ale mamy też Wielki Post, mamy Wielki Tydzień, mamy Paschę – właśnie z tego powodu.

Czas zrobić konkretny krok.

Wyobraź sobie swoje życie jako jaskinię. Jakoś się w niej urządziłeś. Pod ścianami poustawiałeś to, co najcenniejsze, co wieczór siadasz i w ciepłe domowego ognia przypatrujesz się ceniom pływającym na ścianie.

Są jak żywi ludzie, prawdziwe zjawiska, przedmioty – cenne i bezcenne. A przecież to zaledwie cienie, odbite za sprawą światła niewielkiego ognia. Za tobą znajduje się słońce, źródło jasności o wiele większej, I otwór, przez który możesz wyjść.

Czasem pozostawienie za sobą balastu, który się pokochało, kosztuje więcej niż dźwiganie go do końca życia. Ale to cena, którą warto zapłacić. Za wolność.

Panie Jezu Chryste, Dobry Pasterzu, ujmij mnie za rękę i wyprowadź z mojego więzienia. Nawet jeśli się do niego przyzwyczaiłem czy wręcz je pokochałem. Wyprowadź mnie na słońce. Wesprzyj i obdarz nadzieją, że już nigdy nie będę chciał pokochać ciemności.

Wielki wtorek

Iz 49,4-5b: Ja zaś mówiłem: Próżno się trudziłem, na darmo i na nic zużyłem me siły. Lecz moje prawo jest u Pana i moja nagroda u Boga mego. Wsławiłem się w oczach Pana, Bóg mój stał się moją siłą.

Poczucie sensu zdaje się konieczne człowiekowi do życia. I przede wszystkim do działania. Budząc się co rano, biegnąc w pośpiechu do swoich obowiązków, wykonując pracę, opiekując się najbliższymi, musimy wiedzieć, po co, dlaczego to robimy.

Owszem, wszyscy psychologowie tej ziemi powtarzają (i nie mylę się), że aby konstruktywnie żyć i czuć się komfortowo, potrzebujemy wiedzieć, dla kogo czy dla czego żyjemy, musimy być do tego przekonani i czerpać z tego radość. Są jednak takie okoliczności, w których sens może nie być oczywisty. Wybór dokonany przed laty budzi wątpliwości, złożone ślubowania ciążą, pamięć odtwarza mirażę chwil, w których popełniło się błąd.

Musi tak być, przecież nie wszystkie szanse są po to, by je wykorzystać – raczej po to, żeby stanąć wobec wyboru.

Naturalna droga rozwoju zakłada, że dojrzewamy nie wówczas, kiedy mówimy kategoricznie: „Czas wszystko zacząć od początku” (choć i taki scenariusz jest możliwy). Raczej wtedy, gdy pomimo przeciwności staramy się nie tracić wiary w siłę pierwszej miłości. Ona musi ewaluować. Nie musi umierać.

Jeśli każdego dnia zmagasz się z myślami, że „to wszystko na próżno”, wiedz, że może tak być – o ile skuteczności swoich działań dopatrujesz jedynie we własnych siłach. Jeśli twoją siłą staje się Bóg i nie wątpisz, że w istocie tak jest, nawet poczucie zmarnowania sił może mieć wyzwalający charakter.

Można przez całe życie szukać drogi. Jednej. Właściwej. Pewnej.

I nie pomyśleć nawet, że droga jedna, właściwa i pewna najczęściej rozpoczyna się tam, gdzie pewność ustępuje miejsca zmęczeniu.

Można patrzeć przed siebie, wyraźnie rozróżniać cel, który leży gdzieś za horyzontem, od tła.

I nie rozumieć, że droga ważniejsza jest od horyzontu o tyle, o ile próg wieczności ważniejszy jest od rozważań o niej. Można.

Jeśli jednak na pewnym etapie życia zaczynasz wierzyć, że za horyzontem nie ma już nic, więc droga ku niemu jest bezwartościowym trwonieniem siły, przypomnij sobie Sługę Jahwe, który od wnętrza swej matki, jeszcze przed urodzeniem, znany był swemu Panu z dokładnością co do sekundy przyszłego życia. O wiele łatwiej przyjdzie ci powiedzieć: „**Bóg mój stał się moją siłą**”.

Panie Jezus, Chryste, kiedy zwątpienie w Twoją obecność w moim życiu będzie już zbyt wielkie, bym mógł działać cokolwiek, kiedy pogłębiać się będzie poczucie bezsilności, kiedy zdawać się będzie, że najlepszym wyborem jest ucieczka od wyborów już dokonanych, ukaż mi wyraźnie moją słabość. I pomóż, bym pokochał ją bardziej od własnej mocy.

Wielka środa

Iz 50,7-8: Pan Bóg Mnie wspomaga, dlatego jestem nieczuły na obelgi, dlatego uczyniłem twarz moją jak gład i wiem, że wstydu nie doznam. Blisko jest Ten, który Mnie uniewinni. Kto się odważy toczyć spór ze Mną? Wystąpmy razem! Kto jest moim oskarżycielem? Niech się zbliży do Mnie!

Ataki na ludzką godność najczęściej bolą bardziej niż rany zadawane ciału. Na te drugie można poszukać środków przeciwbólowych. Antidotum na pierwsze jest jedynie bliskość Boga. A właściwie poddanie się pod Jego wyłączny osąd. W świecie, w którym wszyscy walczymy o popularność i pragniemy być podziwiani, troskę o szacunek do siebie często myli się z roszczeniami.

I wysyłam otoczeniu komunikatem: „Adoruj mnie, mów, że ci na mnie zależy oraz że jestem wyjątkowy”.

To bardzo toksyczna skłonność i, jak każda trucizna, potrafi zatruć życie bez względu na to, o jaką wspólnotę osób chodzi – dotyczy tak samo rodziny jak zakonu czy grupy przyjaciół.

Nie można kochać się wzajemnie w grupie egocentryków, leczących swój ból przywiązaniem innych. Z takich osób nie da się zbudować autentycznej wspólnoty.

Najsłynniejszy bodaj trapista świata, ojciec Tomasz Merton, nazwał to kiedyś samolubną miłością, która „rzadko szanuje prawo ukochanego człowieka do pozostania autonomiczną osobą”, ponieważ „chce przede wszystkim zatrzymać go pod swoim wpływem”.

To bardzo właściwa diagnoza i powinna znaleźć się w podręcznikach do budowania przyjaźni, gdyby takie istniały.

Wyjście z zaklętego kręgu osobistych złudzeń i półprawd co do siebie samego jest tu podstawowa.

Nie da się bowiem zbudować autentycznej relacji z drugim człowiekiem, jeśli uprzednio w takiej autentycznej relacji nie jest się z samym sobą. W przeciwnym wypadku każdy nasz związek z drugim człowiekiem opiera się na lęku, a „największą troską takiej miłości jest obawa wydostania się na wolność umiłowanych istot. Wymagamy, aby nam podlegały, gdyż jest to potrzebne do podsycaenia naszych własnych uczuć” – twierdzi Merton.

Być „nieczułym na obelgi” i mieć twarz „jak głaz” w obliczu zniewag można wyłącznie wówczas, gdy jest się zakorzenionym w wolności Bożej. To bardzo specyficzny rodzaj wolności, która charakteryzowała Jezusa. Bo powiedzieć: „Blisko jest Ten, który mnie uniewinni” nie oznacza przyjmowania postawy cwaniaka, który nie boi się osądu, bo pozostaje w zażyłej relacji z sędzią.

To oznacza raczej postawę zaufania opartego na wierze, że Jego bliskość, wynikającą z życia „w Jego woli” (a nie tylko „według” niej), wyklucza wszelkie pomyłki.

Panie Jezu Chryste, bardzo pragnę, by i moim pokarmem było pełnić wolę Ojca. Proszę, pomóż mi odczuć głód tego pokarmu i uczynić z niego największe pragnienie mojego życia.

Wielki czwartek

Iz 61,1-3: Duch Pana Boga nade mną, bo Pan mnie namaścił. Posłał mnie, by głosić dobrą nowinę ubogim, by opatrywać rany serc złamanych, by zapowiadać wyzwolenie jeńcom i więźniom swobodę; aby obwieszczać rok łaski Pańskiej, i dzień pomsty naszego Boga; aby pocieszać wszystkich zasmuconych, <by rozweselić płaczących na Syjonie>, aby im wieniec dać zamiast popiołu, olejek radości zamiast szaty smutku, pieśń chwały zamiast zgnębienia na duchu. Nazwą ich terebintami sprawiedliwości, szczepieniem Pana dla Jego rozślawienia.

To nie jest przypadek, że akurat w Wielki Czwartek, kiedy rozpoczyna się Triduum Paschalne, gdy odprawia się uroczystą Eucharystię w dzień jej ustanowienia, liturgia słowa opisuje szczegółowo posłannictwo Sługi Jahwe. Posłany został, aby głosić Dobrą Nowinę ubogim, opatrywać rany serc złamanych, jeńcom zapowiadać wyzwolenie i wolność więźniom, pocieszać zasmuconych, rozweselać płaczących ... To te słowa u progu swojej działalności Jezus odniósł do Siebie w trakcie modlitwy w synagodze. „Te słowa się spełniły dzisiaj” – powiedział (por. Łk 4,21). Nie można mieć więc żadnych wątpliwości co do tego, iż Jezus uważał Siebie za tego, którego zapowiadał Izajasz.

Jest w tym fragmencie ogromna doza nadziei. I właściwie dla każdego, kto choć trochę zna Jezusa ... nic nowego. Kiedy jednak przychodzi się zmierzyć z ogromnym napięciem wywołanym naszym ludzkim bólem, cierpieniem płaczących, zniewolonych, ubogich, ze złamanymi sercami – najczęściej to nie u Niego poszukujemy wypełnienia tego mesjańskiego posłannictwa. Można i tak.

Można karmić się słowami i ciągle pozostawać milczącym. Można śpiewać pieśni o miłości i nigdy nie doświadczyć tego, czym ona naprawdę jest. Można szukać oparcia, właściwego kąta i odpowiednich ramion, ale nigdy nie zaufać. Można wracać do domu ciągle i nieuchronnie tą samą drogą i nie rozumieć, że dom jest tam, gdzie żyje ktoś, dla kogo się żyje.

Jeśli jednak w końcu okaże się, że więcej, niż można, nie można, pozostaje pozostać, nie usiłować nic mówić, nie próbować ratować ostatkami sił tego, co jeszcze da się ocalić z płomienia, nie młócić rozpaczliwie ramionami jak wiatrak próżno tnący powietrze, nie kopać, nie skakać, nie kłaść się na ziemi z krzykiem jak dziecko. Tylko pozostać i usłyszeć gdzieś na dnie siebie samego, że właściwym rytmem zdrowo bijącego serca jest: „Ufam”.

Panie Jezu Chryste, niech dzisiaj spełnią się słowa, którymi Izajasz zapowiadał Twoje mesjańskie posłannictwo. Niech spełniają się w moim życiu, życiu człowieka zniewolonego, przygnębitego, o sercu złamanym. Chcę, aby całe moje życie było nieustannym powtarzaniem jednej modlitwy:

„Jezu, ufam Tobie ...”

Wielki Piątek

Iz 53,2-5.10: On wyrósł przed nami jak młode drzewo i jakby korzeń z wyschniętej ziemi. Nie miał On wdzięku ani też blasku, aby na Niego popatrzeć, ani wyglądu, by się nam podobał. Wzgardzony i odepchnięty przez ludzi, Mąż boleści, oswojony z cierpieniem, jak ktoś, przed kim się twarze zakrywa, wzgardzony tak, iż mieliśmy Go za nic. Lecz On się obarczył naszym cierpieniem, On dźwigał nasze boleści, a myśmy Go za skazańca uznali, chłostanego przez Boga i zdeptanego. Lecz On był przebity za nasze grzechy, zdruzgotany za nasze winy. Spadła Nań chłosta zbawienna dla nas, a w Jego ranach jest nasze zdrowie. Spodobało się Panu zmiażdżyć Go cierpieniem. Jeśli On wyda swe życie na ofiarę za grzechy, ujrzy potomstwo, dni swe przedłuży, a wola Pańska spełni się przez Niego.

Można do Boga mieć pretensje, robić Mu wyrzuty.

Wypominać miliony zagazowanych w Auschwitz, spalonych bądź skażonych radioaktywnymi bombami, sięgać jeszcze dalej i pytać z żalem o los pomordowanych w Jego Imię w trakcie religijnych wojen. Można.

I rzeczywiście, dla wielu wszystkie te fakty złożyły się w kompendium niewiary, non credo wypowiedane w imię ludzkiego cierpienia. A przecież chodzi o grzech. O to, że nawet najmniejszy, choć takie przecież nie istnieją, jest czymś strasznym, zaburzającym pierwotną harmonię pomiędzy Bogiem i Jego stworzeniem, czyli nami.

Nie chodzi przecież tylko o jakieś przekroczenie norm, za które da się ustalić wymiar kary! Grzech jest czymś o wiele gorszym, straszniejszym, przerażającym. Grzech odwraca wszelki porządek i prowadzi do negacji – nie tylko Boga, ale przede wszystkim człowieka.

Czy mogłoby być inaczej, skoro Jezus Chrystus, „zmiażdżony cierpieniem”, stał się ofiarą za nasze grzechy? Albo z drugiej strony: czy mógłby się nią stać w inny sposób? Bez tego miażdżącego ciężaru, który wgniół Go w ziemię jak monstrualna pieczęć położona pod dłużnym zapisem starodawnej winy?

Chropowatości cierpienia nie da się wygładzić niczym, nie można ustalić skąd, dlaczego i po co. Wszelkie próby zawsze prowadzić będą do zamkniętych korytarzy labiryntów, ślepych zaułków pozornej ulgi.

Nie znajdziesz odpowiedzi na pytanie, dlaczego ojciec pił i katował matkę, czemu po trzech poronieniach urodziłaś dziecko, które zmarło dwa lata później, skąd w ukochanym człowieku tyle nienawiści do ciebie i do waszej wspólnej przeszłości, jak właśnie tobie przytrafić mógł się rak, skoro wokół pełno ludzi genetycznie uwarunkowanych ku temu, a ty się do nich nie zaliczasz.

Nie znajdziesz, bo odpowiedź jest jedna, niewyartykułowana, nieujęta w tezę, raczej będąca antytezą ubraną w szkarłatny płaszcz narzucony na porany biczem grzbiet. Możesz ją zobaczyć, próbować się z nią jednoczyć, ale rozumieć jej – absolutnie nie. Rozumienie nie przynależy do jej kategorii.

Panie Jezu Chryste, który jesteś odpowiedzią na wszystkie pytania nurtujące moje myśli i serce, proszę Cię, pozwól mi tak ukochać Twoją przenaświętą mękę, abym nigdy nie pragnął niczego więcej poza uczestnictwem w niej z Tobą.

Wielka Sobota

Starożytna homilia na Świętą i Wielką Sobotę:

Tobie, Adamie, rozkazuję: „Zbudź się, który śpisz! (...) Powstań ty, który jesteś moim obrazem uczynionym na moje podobieństwo. Powstań, wyjdźmy stąd! (...) Przypatrz się mojej twarzy dla ciebie oplutej, bym mógł ci przywrócić ducha, którego niegdyś tchnąłem w ciebie. Zobacz na moim obliczu ślady uderzeń, które zniosłem, aby na twoim zeszpeconym obliczu przywrócić mój obraz. (...) Snem śmierci zasnąłem na krzyżu i włócznia przebiła mój bok za ciebie, który usnąłeś w raju i z twojego boku wydałeś Ewę, a ta moja rana uzdrowiła twoje zranienie. Sen mej śmierci wywiedzie cię ze snu otchłani”.

Boska doskonałość i otchłań nie mają ze sobą nic wspólnego. Są jak dwa odrębne światy, z których jeden istniał od zawsze, a drugi pojawił się w wyniku nieprzewidywalnej katastrofy – nadużycia Bożego daru.

Śmierć, która pojawiła się na świecie przez zawiść diabła, na każdym z synów Adama i na każdej z córek Ewy wycisnęła swoje znamię. Czy nie doświadczamy jego istnienia każdego dnia?

Problem ludzi XXI wieku polega na tym, że intuicyjnie je czując (bo nie wierząc przecież), tracą życie na poszukiwanie skutecznego sposobu, aby się go pozbyć.

Nie ma bardziej nonsensownych wysiłków i skuteczniejszego marnowania życia. Na naszym „zeszpeconym obliczu” już dawno bowiem Swój Obraz przywrócił Ten, który zniósł uderzenia w swoje własne, święte Oblicze.

Znamię to zatem, choć istnieje, pozostaje niewidoczne i - co ważniejsze – nie ma już żadnej władzy nad tym, jak się nasze życie toczy i jak będzie wyglądał jego kres.

Sześć dni Wielkiego Tygodnia i sześć cytatów z Izajasza towarzyszyło naszemu bezpośredniemu przygotowaniu na spotkanie ze Zmartwychwstałym. Siódmego dnia prorocy milczą. Odzywa się – w starożytnej homilii – sam Drugi Adam, którego sen wyprowadza nas ze snu otchłani.

Wielka Sobota jest krótka. Dokonało się już przecież wszystko, co miało się dokonać, gdyśmy spali.

Wieczorem rozpocznie się Wigilia Paschalna. Teraz jednak wciąż trwa cisza. Wielka cisza, bo „Pan zasnął”, Snem śmierci zasnął na krzyżu, włócznia przebiła Mu bok – za mnie, który „zasnąłem w raju”.

„**Zbudź się, który śpisz**”, słyszę przez cały ten dzień. I powinienem słyszeć dzisiaj, jutro, pojutrze, aż do końca życia. Wtedy, zamykając oczy, będę miał świadomość, że nie zasypiam, ale właśnie się budzę.

Panie Jezu Chryste, Życie i Zmartwychwstanie moje, nie pozwól mi trwać w mroku i cieniu śmierci. Niech Twoja obecność przy mnie pozwoli mi zachować spokój. I dystans do wszystkiego, co jest grzeszne, co nie należy do Twojego świata, co Twoją śmiercią zostało pokonane.